Nr. 49 Rok 4 Kraków, dnia 5 grudnia 1943. 40 gr.



PÓŁUŚMIECH

DO NASZEGO REPORTAŻU NA OSTATNIEJ STRONIE

Fot: Eurofot

NA WYSPACH ARCHIPELAGU EGEJSKIEGO

Niemieckie wojska zajęły kolejno jedną po drugiej wyspy Archipelagu Egejskiego obsadzone częściowo przez żołnierzy Badoglia, częściowo przez Anglików. — Na zdjęciu widzimy okręt wiozący żołnierzy niemieckich, do wybrzeży jednej z wysp. Przednie straże zajęły już ważne strategicznie punkty na tej wyspie, a lotnictwo atakuje nieprzyjacielskie pozycje.





Powyżej:
Pierwsi żołnierze niemieccy, którzy wtargnęli już do portu dają znać o tym lotnikom, sygnałami.

Poniżej:
Wyspa jest już zdobyta. Piechota wkracza do miasta.



Fot: KP. Bauer 2, Wittmaack-TO., Cuno-Sch., Kussin-Atl.



Powyżej:
Obsadzanie wyspy — w tym wypadku — Leros. — Niemieckie łodzie transportowe, pod osłoną sztucznie wytworzonej mgły, zbliżają się do wybrzeży.

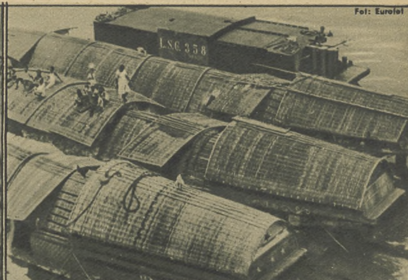
U dołu:
Na krótko przed osiągnięciem celu. Pierwsze wojska opuszczają transportowiec, by na mniejszych łodziach przedostać się na stały ląd.

WYLĄDOWANIE NA WYSPIE ELBIE



MANILA

Fot: Eurofot

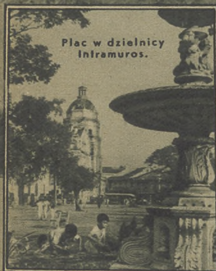


Wielu tubylców mieszka w czółnach na wodzie.



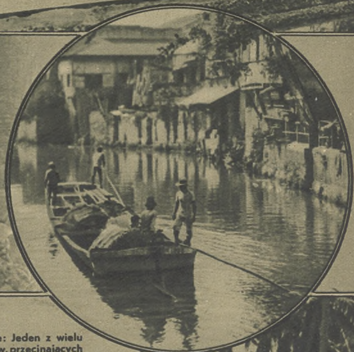
Płytkie doły przeznaczone do otrzymywania soli przez odparowanie wody morskiej.

Wielki hotel w pobliżu portu.



Plac w dzielnicy Intramuros.

Perłą mórz południowych nazywają z dumą mieszkańcy Filipin swój archipelag, odkryty przez europejskich żeglarzy przed 400-tu laty. Od chwili, gdy po raz pierwszy stopa Europejczyka dotknęła tej ziemi, zamieszkałej przez liczne szczepy malajskie, wiele zmian zaszło w życiu politycznym, gospodarczym i kulturalnym kraju, a ewolucję tę, jak w kalejdoskopie może śledzić turysta wędrując ulicami Manili, stolicy archipelagu. W porcie i dzielnicy rządowej Manili, wznoszą się wspaniałe gmachy nowoczesne i olbrzymie domy towarowe. Dawne śródmieście zwane „Intramuros" jeszcze dziś posiada wszystkie cechy XVII i XVIII-go stulecia. W dzielnicach zaś zamieszkałych przez Chińczyków i Malajczyków przeważają lekkie chaty z bambusów i słomy.



W kole: Jeden z wielu kanałów, przecinających miasto Manilę.



Wioska w okolicach Manili. Chaty tubylców ze względu na częste trzęsienia ziemi posiadają niezwykle lekką konstrukcję.



Jarmark w Manili.

Na lewo: Mężczyźni noszą ubiór europejski na ulicach Manili, kobiety zachowały swój dawny strój narodowy.

GAUCHOS

Fot. Witzleben i Peters



SORTOWANIE RYB
Gauchosi sortują ryby. Małe sztuki wrzucają z powrotem do wody; większe ładuje się na małe wózki zwane „carra" i zawozi się na targ do stolicy.



ŁOWI

Na rozległych równinach Argentyny żyją gauchosi, prawdziwi władcy stepu. Silnie ogorzałe twarze, granatowe niemal włosy i strój składający się z szerokich spodni, czerwonego pasa i koszuli ze związaną chusteczką u szyi, czynią z nich postacie egzotyczne, jakie u nas widzi się tylko na ekranach filmowych. Szeroką piersią wdychają gauchosi powietrze przepojone wonią pampasów, uganiając za stadami bydła. Pełni prawdziwie kawalerskiej fantazji, potomkowie dawnych Indian albo i zdobywców hiszpańskich, spędzają gauchosi całe swe życie na koniu. Tak jak ich przodkowie kochają swobodę i przestrzeń bezkresną i konie. Zżyci z koniem od najmłodszych lat są wspaniałymi jeźdźcami i popisują się nieraz niezwykle karkołomnymi sztukami hippicznymi. Jeszcze przed 30-40 laty urządzali gauchos polowania na tabuny dzikich koni, chwytając je na lasso i ujeżdżając. Dzisiaj stosunki zmieniły się zupełnie. Rozwijające się rolnictwo zamienia stepy na pola uprawne i z półdzikich pasterzy robi zwykłych hodowców bydła. Mimo to jednak, ciągle jeszcze zajęcie gaucha wymaga dużej sprawności fizycznej, a często i wielkiej odwagi osobistej. Gaucho, którego fantazję przepala wizja przygód pchająca w nieznane kraje jego protoplastów Hiszpan, często w sporcie i innych zajęciach szuka nowych emocji. Jedną z takich jest rybołostwo, któremu oddają się gauchosi mieszkający już na pograniczu pampasów w pobliżu Buenos Aires, stolicy Argentyny. Syn stepu jednak nigdy nie może rozstać się z koniem, nie wyobraża sobie wprost życia bez niego. I przy połowie ryb koń również jest nieodłącznym towarzyszem i oddaje mu przy tym zajęciu duże usługi. Wczesnym rankiem wypływają gauchosi w czółnach rybackich na głębiny i zarzucają na wodę długie sieci. Tymczasem na brzegu czekają konie osiodłane już lub zaprzężone do małych dwukołowych wózków rybackich zwanych carrami. Gdy w oddali zarysują się kontury czółen wracających z obfitym, zwykle w tych stronach, połowem, towarzysze pozostali na brzegu wyruszają na przeciw powracających, wjeżdżając konno do wody, na kilkadziesiąt metrów. Przymocowuje się przy pomocy lin do siodeł sieci i konie podciągają je na mielizny, gdzie wypróżnia się je z ryb, a konie ciągną pustą już teraz sieć na brzeg. Do mielizn tych podjeżdżają następnie carra, na które ładuje się ryby by już na rannym targu mogła je nabyć ludność stolicy. Srebrzyście połyskuje fala, migoce w słońcu ławica rybna, szumi woda. Gaucho ze swym nieodłącznym towarzyszem koniem zdobyli również i pokochali, potężny i posiadający dziwną siłę sugestywną żywioł — wodę.

POŁÓW SKOŃCZONY
Gauchosi-rybacy wyrzucili już ryby z sieci. Konie czekają już, by zawieźć próżne teraz sieci na ląd, gdzie będą schły rozpięte na brzegu.

POWRÓT Z POŁOWU
Koń ciągnie wielką sieć na brzeg. Na zdjęciu tym widzimy w jaki sposób jest umocowana lina do siodła końskiego.







OBFITY POŁÓW
Schwytane w sieci ryby wyrzuca się na ławice piasku znajdujące się niedaleko brzegu. Woda jest tu już tak płytką, że ryby są zanurzone tylko do połowy.

NAPRAWA SIECI
Po skończonym połowie schną sieci rozpięte na żerdziach wbitych w ziemię. Gauchosi naprawiają uszkodzone sieci bardzo starannie. Obok nich widzimy wózek służący do rozwożenia ryb.

RYBY



SKŁADANIE SIECI
Olbrzymie sieci rybackie szerokie na 3 metry, a długie na 300 m należy bardzo starannie złożyć, by mogły jak najdłużej służyć na dalsze połowy.





Filuternie błyszczą oczy Mariki, grającej pieśń miłosną na drumli.

PRASTARY INSTRUMENT



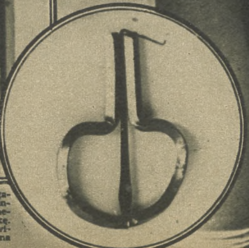
Powyżej na lewo:
W tym prymitywnym urządzeniu, płucze się gotowe już instrumenty, w kryształowej wodzie strumyka górskiego, a następnie szlifuje, dla nadania lśniącego połysku.

Na lewo:
Plon całodziennej pracy. Tajemniczo lśnią drumle w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Zaraz zapakuje się je w małe skrzyneczki i powędrują we wszystkie strony świata.

Na prawo:
Widzimy, że nasz instrument zawędrował nawet do Afryki. Z dumą nosi murzynka błyszczącą drumlę, jako najpiękniejszą ozdobę swego naszyjnika.



Na lewo:
Sam „pan" konstruktor jest także wirtuozem w grze na drumli. W chwilach wolnych od zajęć wygrywa on chętnie smętne melodie, na prastarym instrumencie.



U dołu:
Tak oto wygląda drumla. Metalowa ramka w kształcie serca i elastyczny języczek który pobudzony do drgania wydaje brzęczący ton.

DRUMLA

Z „królową muzycznych instrumentów" organami, nie może się równać ten mały, skromny instrumencik. Składa się on jedynie z elastycznego języczka ujętego w małą metalową ramkę. Drumlę wkłada się między zęby w sposób uwidoczniony na naszych ilustracjach. Jama ustna grającego spełnia rolę rezonatora. Uderzając palcami języczek, wydobywamy z instrumentu brzęczący ton, niższy lub wyższy zależnie od siły uderzenia. Przy pewnej wprawie można na nim wygrywać nawet całe piosenki. Jak widzimy nie ma w tym instrumencie nic tak dalece skomplikowanego ani tajemniczego. A jednak drumla jest swego rodzaju kuriozum, z bardzo ciekawą tradycją. W całym świecie istnieje tylko jedna rodzina, zamieszkała w Steimarku, której członkowie sporządzają ręcznie drumle. Od 500 lat zajęcie to przechodzi dziedzicznie z jednego pokolenia na drugie. Drumla jest instrumentem rzadko spotykanym. Wielu ludzi w ogóle go w swym życiu nie widziało. Nic dziwnego, wszak dźwięki drumli są zbyt ciche, by dojść do uszu strojnie przybranej publiczności, bijącej w sali koncertowej gorące brawa wirtuozom na innych instrumentach. Jedynie w cichy letni dzień siedząc gdzieś nad wodą w cieniu drzew, miło jest ująć drumlę i zagrać na niej jakąś starą, zapomnianą melodię do wtóru swych marzeń.

Fot: Witzleben i Peters.



Niki ma sukienkę koloru przyprószonego błękitu, jest jej w tym doskonale.

Nie wypada, bym się tak długo przypatrywał jej więc nachylam się i przez słomkę sączę lemoniadę.

Wszystkie stoliki w kawiarni parkowej są zajęte, między nimi przeciska się elegancka pani, prowadząc pieska na linewce. Rozgląda się wokoło, zauważyła Niki i brnie w naszym kierunku.

Okrzyki przywitania, podczas gdy piesek zainteresował się mymi spodniami, a ja też dla pewności nie spuszczam go z oczu. Wreszcie wszystko się jakoś ułożyło i Niki już trzyma na kolanach pulchnego niedźwiadka.



— Co za rozkoszna psinka!...

— Oryginalny Czou-Czou — właścicielka oryginału na chwilkę zastygła z wysuniętą dolną wargą.

„Chow-Chow"... chińskie owczarki, prawie nieznane w Europie, to mnie zainteresowało.

— Słyszałem, że te owczarki mają niebieskie podniebienie i język, nawet gdy nie jadły przed tym pierożków z borówkami.

Właścicielka z pobłażaniem spojrzała na mnie.

— Ling-Ting... chodź tu — chwyciła pieska na ręce — pokażesz panu grzecznie języczek, gdyż jeszcze posądzi cię, że jesteś jamnikiem.

Ling-Ting, nieczuły na straszne posądzenie (jamnik!? — horribile dictu) zamiast grzecznie pokazać język, grzecznie utonął noskiem w ciastku Niki.

— Już po jego minie widzę, że ma niebieski język, proszę nie trudzić się.

— Zresztą — dodała Niki — na piramidach były już wyryte jamniki, więc ta rasa nie jest tak do pogardzenia, gdy istniała za faraonów.

— Faraonów?... — właścicielka wreszcie uporała się z Lingiem. — Proszę... państwo widzą... oryginalny Chińczyk.

Utonęliśmy oboje wzrokiem w pyszczku Linga i pokiwaliśmy z uznaniem głową.

— Prawie fiolet. Nadrasa.

Teraz z kolei ja wziąłem go na kolana.

— O ile mi wiadomo, łaskawa pani, Chińczycy niezwykle cenią tę rasę i bardzo sobie ją chwalą ze względu na znakomity smak mięsa.

Ling momentalnie powędrował na kolana właścicielki, a ja ponownie zostałem obdarzony oburzonym wzrokiem.

Ostatecznie, kto ma coś do pokazania, nie może zbyt długo na jednym miejscu usiedzieć, toteż wkrótce piesek wraz z właścicielką zniknął, by wypłynąć znowu przy innym stoliku.

— Mam tę satysfakcję, że nie tylko nam to stworzonko grzecznie język pokazało... uważaj, zaraz to się na nowo rozpocznie, tylko szkoda, że nie widzę tam ciastka na stoliku.

— Trzeba przyznać, że póki mały — jest śliczny, ale... — Niki na chwilę znieruchomiała, spuściła rękę i oparła o oparcie krzesła — ...ale nie wiadomo, co z tego wyrośnie.

— Język zostanie — bleue naturelle foncée...

— Jeżeli go jeszcze wytresują, by na „pif-paf" go pokazywał... — ręka Niki znowu niespokojnie posunęła się po oparciu. — Nie... zdaje się... — spojrzała na mnie zmieszana.

— Zdaje się, — powtórzyłem — że będę mógł ci pomóc. W którym miejscu pleców mam cię podrapać?

— To straszne... — jęknęła cicho — ...ale jakaś pchła...

— I do tego chińska... — jęknęła głośno. — Jesteśmy zgubieni.

Powiedziałem „jesteśmy", gdyż znam Niki. Czerwona płachta dla byków jest niczym w porównaniu z jedną pchłą dla niej. Zaraz wstanie, pożegna się i pojedzie do domu przebrać się, wykąpać, bogowie wiedzą co... a ja tu sam zostanę.

Nie, to jest nie do pomyślenia...

Mój „kategoryczny imperatyw" nie zezwala mi na to.

— Słuchaj... może ją jakoś zwabimy?

— Właśnie, że tak cierpię z powodu nich, wystarczy, żeby jedna ukazała się w promieniu kilometra, wiadomo, że ja przed nią nie ucieknę. Idę.

— Zaraz... zaraz... Czekaj, mam pomysł — rozpaczliwie rozglądnąłem się wokoło. — O!... widzisz, tam jest budka telefoniczna. Wejdziesz do środka, wytrzepiesz sukienkę i będzie wszystko w porządku... a ja tu — uśmiechnąłem się błogo — zamówię ciastka.

Niki zastanowiła się.

— Ale ona z powrotem na mnie wskoczy.

— Więc podasz mi przez uchylone drzwi sukienkę, a ja pójdę tam za te krzaki i wytrzepię ci ją gruntownie... Kwestia paru sekund. Szyby na drzwiach są matowe, więc nic ci nie grozi.

Trzeba przyznać, że 67 zaletą Niki jest to, że szybko decyduje się.

Stanąłem przed budką, wreszcie przez szparę w drzwiach przejąłem niebiesko-różowy zwitek.

Obszedłem krzaki naokoło, chwyciłem sukienkę w palce i zacząłem gwałtownie strzepywać.

Nagle, coś wyrwało mi ją z ręki. Spojrzałem na dół.

Piesek.

Sądząc, że dla zabawy wykonywałem te ruchy, porwał ją w zęby i przysiadł.

— Blimbiling!... — zabełkotałem — nie rusz! A kusz!

Ale, czy taki Chińczyk zrozumie polskie wyrażenie?... Gdy podszedłem, zerwał się, machając ogonem i pognał dalej.

Ja za nim.

Niedaleko zobaczyłem niebezpieczeństwo w postaci basenu, a ten diabeł w tym kierunku pędzi. Wreszcie tuż przed samym basenem rzuciłem się na ziemię i złapałem go.

— Puść... bo cię w ogon ugryzę — warknąłem, popierając moje słowa sążnistym klapsem.

Wreszcie puścił swoją zdobycz, wesoło szczekając, a ja wstałem, rozglądnąłem się wokoło i zimny pot wystąpił mi na skronie.

Sukienkę, którą podczas walki rzuciłem na ziemię, porwał wiatr i właśnie tkwiła na środku basenu, do połowy zanurzona w wodzie, oparta o grupę amorków, spośród których wytryskiwała fontanna.

Niki... — pomyślałem i tym razem poczułem dreszcze w piętach. Susem pobiegłem w kierunku kabiny.

— Niki!... — zadyszałem.

— Gdzieżeś tak długo był?... Już ktoś dobijał się tu... Cieszę się, że przynajmniej pchły nie ma.

— Su... su... sukienki też — szybko wsunąłem uratowaną część.

— Jakto nie ma?!?

— W basenie, na amorkach.

— Cóż ty za głupstwa pleciesz?

Dysząc, jąkając się i sapiąc, opowiedziałem przebieg moich walk, zdawałoby się — zwycięzkich.

— O Boże!... Co ja teraz zrobię?... Moja wina, że nie zastanowiłam się, co czynię.

— Nie, to moja wina, ale poświęcę się i ukradnę dla ciebie obrus z naszego stolika, w kratce będzie ci do twarzy.

— Przecież nie będę w obrusie przed wszystkimi przechodzić.

— Wobec tego pojadę szybko do domu i przywiozę ci jakąś suknię.

— Nie!... Na miłość boską nie ruszaj się stąd... Jeszcze cię po drodze auto przejedzie i co ja wtedy sama tu zrobię?

Ta argumentacja była nie do zbicia.

— Czekaj... na wieszaku wiszą dwa płaszcze męskie i melonik.

— I cóż mi to pomoże?

— W twoim położeniu nie należy nawet melonika lekceważyć. Ale... może uda mi się wyłowić sukienkę.

— Zmokniesz cały!... Zresztą nie odchodź... Ja tu sama zostanę?!...

— Zatelefonuj do kogoś.

— Nie mogę.

— Dlaczego?

— Zamek nie domyka się i muszę palcem przyciskać zasówkę.

Zauważyłem, że jakiś gruby pan zbliżał się szybkim krokiem do budki. Wyruszyłem mu naprzeciw.

— Ciągle zajęty? — zapytał.

— Tak... tak... to jakaś dłuższa rozmowa, taka... międzynarodowa, chciałem powiedzieć... międzykontynentalna.

Podszedłem do stolika, przy którym — już nie wiem z kolei z rzędu — tkwił „czou-czou".

— Czy pani pozwoli, — zwróciłem się do właścicielki — że przez chwilkę pobawię się z jej pieskiem?

— Pobawić się?

— Już przed chwilą to zrobiłem... hm... i chciałem jeszcze raz...

— Ach!... to Ling-Ting był przy panu, a tak już się przestraszyłam.

Głaskałem go właśnie po głowie, gdy nagle zerwałem się i pędem pobiegłem do kabiny.

Grubas coś tam przy zamku manipulował!

— No, co?... zajęte? — krzyknąłem z daleka.

— Nie... Cisza... — odpowiedział, ale w tej chwili usłyszeliśmy ze środka głos:

— ...tak, tak, proszę przysłać, sto kilo jabłek, ale nie kompotowych, tylko deserowych...

Odprowadziłem go znowu kawałek i zawróciłem.

— Niki!...

— Co?

— Ty chyba na serio nie zamawiałaś tych jabłek?

— Oczywiście, że nie. Gdzie sukienka?

— Zaraz będzie — pobiegłem w kierunku basenu, przytrzymując wyrywającego się psa.

— Czekaj kotku, za chwilę ta kąpiel przypomni ci żółte wody Jang-Tse-Kiangu — wyrzuciłem go celując w środek basenu.

Ledwo wynużył się, popłynął z powrotem do brzegu.



Za drugim razem wycelowałem nim w samą sukienkę.

Pomogło.

Przypłynął z nią, a najciekawsze, bardzo mu się ta zabawa podobała, gdyż skakał naokoło i szczekał radośnie.

Reszta poszła bez trudu. Kilka słów na ucho kelnerowi, szeleszczący papierek zmył nawet cień zdumienia z jego twarzy. „Za dziesięć minut będzie" zapewnił.

Rzeczywiście, po piętnastu minutach, podczas których musiałem jeszcze raz odeprzeć atak grubasa, przyniesiono wyprasowaną sukienkę.

— Otwieraj, Niki.

W zamku zatrzeszczało, usłyszałem uderzenie nogą o drzwi.

— Nie idzie, zacięło się — jęknęła.

— Szarpnij za zasówkę.

— Au!

— Co?... „au".

— Zraniłam się.

— To nic. Pchnij z całych sił ciałem o drzwi.

— A jak one nagle puszczą i ja tak wylecę na dwór?

Oglądnąłem się i doszedłem do przekonania, że to jest niemożliwe. I tak już niektórzy zaczęli przypatrywać się mi, dlaczego tak ciągle sterczę przed drzwiczkami.

— Racja... Czekaj, ja stanę silnie tuż za drzwiami i na mnie zatrzymają się. Więc uwaga... Hop!

Hop!... o mało na ziemię nie poleciałem i, rzeczywiście, gdyby nie żywy mur mojej osoby, Niki bezwątpienia wylądowałaby na środku kawiarni.

No, nareszcie siedzimy już przy naszym stoliku. Wydawało się, Bóg wie, ile czasu, a tymczasem ledwo pół godziny minęło. Powinienem jeszcze wytłumaczyć się co do pieska, ale tym razem „Lingi-Tingi" zniknęły na dobre. Jeżeli psina dostanie kataru, to sprawa będzie miała jeszcze swój epilog. Na razie do minusów trzeba zanotować zieloną plamę na lewej nogawce pod kolanem, zdrapany piętek i obolały prawy bok (vide — „hop") i... racja, gdzieś mi grzebień zapodział się. Z mniejszym szwankiem wychodzą torreadorzy w walkach z bykami, niż ja z jedną pchłą. Nie mówiąc o tym, że pewien gruby pan zaczął się nam z niepokojem przyglądać, a to tylko dlatego, że kelner powiadomił go, iż aparat telefoniczny jest od dwóch dni zepsuty.

Nasza wina?...

* * *

Po pewnym czasie...

Jasnym jest, że ożeniłem się z Niki. Że kupiłem jej jamnika, tak rasowego, iż jest wprost podobny do Ramzesa. Że dokupiłem pudełko proszku na pchły, które z kolei jamnik kiedyś pożarł, ale swoją drogą od tego czasu pcheł nie ma. Że... ale tu dużo dałoby się pisać.

Dziś przy śniadaniu mówię.

— Wiesz, Niki, dlaczego ożeniłem się z tobą?

— Wiem.

— Nie, pomyliłaś się, wcale nie z tego powodu.

— Ja też wcale nie mówię, że z tego powodu, tylko z tamtego.

— Z tamtego też nie. Po prostu dlatego, że tak dbałaś o moje życie... pamiętasz w tej budce... dziń, dziń... — zrobiłem odpowiedni ruch ręką — i nie chciałaś mnie wtedy pod żadnym względem puścić do domu, żeby mnie co nie przejechało. Uratowałaś mi życie.

Niki przerwała nalewanie kawy z dzbanuszka.

— Przestań bo ci pokażę grzecznie język...

I uczyniła to.

V. KONCERT SYMFONICZNY

Zaraz na wstępie niedzielnego koncertu mała niespodzianka — zapowiedź zmiany programu, i to numeru pierwszego, dla którego niejeden ze słuchaczy żywił prawdziwe zaciekawienie. Wskutek widocznie nieprzewidzianych okoliczności, opłatujących solistę koncertu, musiał — najpiękniejszy z sześciu — koncert brandenburgski nr 2 (F-dur) Johna Seb. Bacha odpaść, co powetowano z wielkim pomysłem wstawką jednego z Concerti grossi Handla, dającego szerokie pole popisu instrumentom smyczkowym. A że część smyczkowa Orkiestry Filharmonii Krakowskiej osiągnęła w swym rozwoju wysoki poziom rzetelnej doskonałości, orkiestranci czuli się doskonale w swej ważkiej roli, wywiązując się z zadania, dość trudnego nienagannie. Concerto Handla odegrano z wielką starannością i pełnym zrozumieniem, co stwierdzało, że zastąpienie koncertu brandenburgskiego nie było zaimprowizowaniem w ostatniej chwili, ale czymś — zdaje się — przez kierownictwo intuicyjnie przewidzianym. Drugie Largo, pierwsze allegro zasługują na rzetelne, zasłużone majorowe pochwały.

Solistką V. Koncertu Symfonicznego była znana pianistka p. Halina Sembrat, która na koncertach Orkiestry Filharmonii Krakowskiej niejednokrotnie już poprzednio z aplauzem audytorium koncertowała, przez co łączność jej z orkiestrą Filharmonii wytworzyła się ściślejsza, opierająca się na dokładnej znajomości walorów. Tym razem zaprodukowała p. Sembrat śliczny Mozartowski Koncert Nr. 20 (d-moll), bardzo często rozbrzmiewający z estrad koncertowych. Gra p. Haliny Sembrat stwarza doskonały umiar zespolenia harmonijnego doskonałej w każdym pociągnięciu techniki, fundującej się na głębokim zrozumieniu i dostosowaniu elementów odtwórczych, — z wrodzonym widocznie odczuciem i wyczuciem piękna muzycznego. Przy czym niewzruszony spokój, wypływający z pewności i doskonałego opanowania utworu. W tych fortunnych warunkach koncert Mozarta musiał otrzymać doskonałe wykonanie, dobywające całokształt ułajonego piękna, promieniującego w dusze zasłuchanego audytorium. Największej pochwał — wygłoszonych fortissimo — zasługiwało wspaniale odegrane allegro, o niemniejszą ich ilość prosiła doskonale odczuła Romanza. Koncertantka grą swoją wywołała entuzjazm oklaskowy, zmuszający ją do szeregu naddatków, oklaskiwanych z niemniejszą intensywnością.

Symfonia J. Haydena Es-dur koncentruje omal w idealnej pełni wszystkie plusy obfitej jego twórczości symfonicznej — napisał około 124 utworów symfonicznych. Owoc gruntownej praktyki i talentu. Polega wyrazu muzycznego — liryzm — powaga — radość — smętek — ujęte w karby doskonałej formy muzycznej. Wykonanie symfonii Haydenowskiej osiągnęło spodziewane szczyty doskonałości artystycznej. Przejrzystość brzmienia — zwłaszcza w większych zespołach — nienaganna rytmika — wgłębienie się w duszę utworu — doskonałe opracowanie szczegółów, zlewających się w ogólne niezmiernie dodatnie wrażenie. Prześliczne Adagio — w ogóle cała część pierwsza — doskonałe Andante — finał pełen siły i mocy. Hindemith potrafi z nieprzeciętną pieczołowitością wydobyć tyle piękna z utworu, że słuchacze pozostają dłuższy czas pod wrażeniem czegoś niezwykłego.

Potężnym finałem koncertu była uwertura Beethovena Egmont — ilustracja muzyczna do dzieła dramatycznego Goethego pod tymże tytułem. Dzieło muzyczne harmonizowało z walorami odtwórczymi orkiestry idealnie. Stąd otrzymało przewspaniały wyraz odtwórczy. Brzmienie cudowne, zwłaszcza w miejscach pełnych powagi i potęgi.

Frekwencja publiczności nie słabnie. Bilety stale na kilka dni wysprzedane. Krzesła stale dostawiane. Zainteresowanie koncertami nie słabnie, ale widać z pewnych objawów, że stale wzrasta.

ZE SCEN WARSZAWY

Jedną z najlepszych rewii jakie dają obecnie teatry warszawskie jest bezsprzecznie „Flirt z Muzami" w „Nowościach". Od prologu aż do finału przewijają się przed nami obrazy o wysokiej wartości artystycznej zręcznie powiązane w całość przez Tymoteusza Ortyma.

Jak zwykle na pierwszym miejscu w programie postawić należy inscenizacje baletowe układu Parnella. Nie tańczy wprawdzie sam Mistrz — ale uczniowie jego spisali się znakomicie.

Trudno powiedzieć, którą z inscenizacji baletowych uznać za najlepszą: czy obrazek o legendarnym średniowiecznym podróżniku Marco Polo (wspaniały aktorsko i tanecznie W. Borkowski) czy nieszablonową z temperamentem wykonaną węgierską Rapsodię Liszta czy też pełnego czaru walca ges-dur Szopena (duży sukces odniosła B. Karczmarewicz). Groteska taneczna „Astralia" (ciekawe typki stworzyli Żukow, Kiliński i Maciaszczyk) wnosi wiele szczerego humoru i kończy stronę choreograficzną programu.

Humor w rewii reprezentuje niezawodny komik Czesław Skonieczny. Jego dialog z D. Kalinowską wywołuje na widowni huragany szczerego śmiechu i braw. Parodia bajki „Jaś i Małgosia" (Skonieczny i Abti) — pyszna.

Satyrą na „gwiazdy" teatralne i recenzentów miał być prolog (nie znanego nam bliżej rymarza), który odniósł wręcz odwrotny niż tego zapewne chciał kierownik art.-lit. — skutek, to znaczy, że śmiechu nie było na sali wiele. Prawdziwą ucztą dla melomanów jest głos L. Abti i E. Bender. Mała uwaga pod adresem p. Bendera. Nie wiem czy to poza czy też takie trudne do pojęcia: więcej ruchu na scenie p. Edwardzie — od tego nikomu głos się nie popsuł.

Piękne dekoracje namalował St. Lipski, orkiestrą dyrygował znakomity Z. Wiehler a konferansjerkę prowadził T. Ortym.

*

Teatr Marionetek „Hulajnoga" wystawia w najbliższych dniach trzy bajki dla dzieci: „Wesoły komik", „Były sobie koty trzy ..." i „Murzynek Ambo". Teksty napisali: J. Poraska, Z. Gozdawa i J. Noarro. Kierownictwo artystyczne: J. W. Helblickiej i J. Czarneckiego.

Z. Bakuła


M. Kolpikówna, F. Kleszczowna i T. Woliński w grotesce tanecznej pt. „Testament babuni" w teatrze „Jar".


Xenia Grey — jako przemiły brzdąc w rewii „Naokoło świata" w teatrze „Jar".
Fot.: Braun

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

ŻYCIE I KOŁNIERZYK

Człowiek wyobraża sobie że niepodzielnie panuje nad światem. Ale jakże często zdarza się, że jakaś niepozorna drobnostka wedrze się w życie zakręci niem i popchnie losy zupełnie w inną stronę, niżby powinny pójść.

Pani Ala była przez trzy lata uczciwą żoną uczciwego męża. Była skromna, spokojna, niczym nie rzucała się w oczy, była bardzo przywiązana do męża i cichutkie życie jej wystarczało.

Pewnego razu poszła po sprawunki i zatrzymawszy się przed sklepem z konfekcją, zobaczyła nakrochmalony kołnierzyk damski, z przypiętą do niego żółtą kokardką.

Jako kobieta uczciwa, pomyślała czym prędzej: — Że też wiecznie muszą coś nowego wymyślić. — Po czym weszła i kupiła.

W domu przymierzyła przed lustrem. Okazało się, że żółta kokardka, przypięta nie z przodu ,lecz z boku, nadaje całości jakiś nieoczekiwany wygląd, raczej korzystny, niż brzydki.

Ale kołnierzyk wymagał nowej bluzki. Z tych, które posiadała, ani jedna nie była odpowiednia.

Ala męczyła się przez całą noc, a rano kupiła bluzkę z pieniędzy przeznaczonych na gospodarstwo.

Przymierzyła wszystko razem. Bardzo ładnie, spódnica jedynie psuła cały styl. Kołnierzyk wymagał wyraźnie krótkiej spódnicy z głębokimi fałdami.

Pieniędzy nie było. Ale czyż można zatrzymać się w połowie drogi.

Zaniosła do lombardu srebro i branzoletkę.

W duszy miała niepokój i lęk, więc kiedy kołnierzyk zażądał nowych pantofli, położyła się do łóżka i płakała przez cały wieczór.

Nazajutrz była bez zegarka, ale za to w odpowiednich do kołnierzyka bucikach.

Wieczorem, blada i zmęczona, mówiła do swojej babci:

— Wpadłam tylko na chwileczkę. Mąż bardzo chory. Doktor kazał mu nacierać się codziennie koniakiem, a to tyle kosztuje.

Babcia miała dobre serce, dała na lekarstwa i następnego ranka Ala mogła już kupić kapelusz, pasek i rękawiczki, utrzymane w tym samym tonie co kołnierzyk.

Z każdym dniem było coraz ciężej.

Latała po wszystkich znajomych i krewnych, kłamała i wypraszała pieniądze, a potem kupiła obrzydliwą pasiastą kanapę, na której widok dostawała mdłości, wraz ze swoim uczciwym mężem i szelmą kucharką. Kanapy tej już od kilku dni domagał się kołnierzyk.

Zaczęła prowadzić dziwny tryb życia. Nie swój bynajmniej. Tryb życia kołnierzyka. Miał jakieś nieokreślone, chaotyczne przyzwyczajenia i chcąc mu dogodzić, zbiła się zupełnie z tropu.

Jako istota słaba i bez woli, wkrótce opuściła ręce i popłynęła z prądem, kierowanym zręcznie przez kołnierzyk z żółtą kokardką.

Obcięła włosy, zaczęła palić i śmiała się głośno z usłyszanego dwuznacznika.

W głębi duszy tliło się jeszcze poczucie całej okropności sytuacji i czasem w nocy, lub nawet w dzień, kiedy kołnierzyk był w praniu — zanosiła się płaczem i szukała ratunku w modlitwie, ale nie mogła znaleźć wyjścia.

Zdecydowała się powiedzieć o wszystkiem mężowi, ale ten poczciwy człowiek pomyślał, że to niemądry żart i chcąc jej zrobić przyjemność, śmiał się z całej historii.

Sprawy stawały się coraz gorsze.

Niejeden chciałby zapytać, czemu po prostu nie wyrzuciła za okno tego krochmalonego paskudztwa?

Nie mogła. Nic dziwnego. Każdy psychiatra wie, że istnieją ludzie nerwowi i o słabej woli, dla których pewne cierpienia, przy całej męczarni, jaką im sprawiają, stają się nieodzowne. I nie zamieniliby tej słodkiej męki na zdrowy spokój — za nic na świecie.

Tak więc Ala traciła siły w walce, a kołnierzyk twardniał i panoszył się.

Pewnego razu zaproszono ją na wieczorne przyjęcie.

Dotychczas nie bywała nigdzie, ale kołnierzyk usiadł na karku i pojechał między ludzi. Na wizycie zachowywał się nieobyczajnie i hałaśliwie i wykręcał jej głowę to na prawo, to na lewo.

Przy kolacji jakiś młodzieniec, sąsiad Ali, przycisnął jej nogę pod stołem.

Stała się purpurowa z oburzenia, ale kołnierz wyręczył ją w odpowiedzi.

— To wszystko?

Ala słuchała zawstydzona i przerażona myślała:

— Boże! Co ja czynię?

Po kolacji uczynny młodzian zaproponował że ją odprowadzi do domu. Kołnierz podziękował i zgodził się z radością, zanim Ala zdążyła zrozumieć o co chodzi.

Ledwo siedli do dorożki, młodzian szepnął namiętnie:

— Kochana!

Kołnierz odpowiedział mu ordynarnym chichotem.

Wtedy krewki młodzian objął ją ramieniem i pocałował w same usta. Wąsik miał mokry i cały pocałunek czuć było marynowanym śledziem, który podawano do kolacji.

Ala omal nie płakała ze wstydu i żalu, ale kołnierz zawadiacko obrócił jej głowę i znowu zachichotał:

— To wszystko?

Potem młodzieniec pojechał z kołnierzem do restauracji. Poszli do gabinetu.

— Ależ tu wcale nie ma muzyki! — oburzyła się Ala.

Lecz młodzieniec i kołnierz nie zwracali na nią uwagi. Pili likier, opowiadali nieprzyzwoite anegdoty i całowali się.

Do domu wróciła nad ranem. Uczciwy mąż własnoręcznie otworzył jej drzwi.

Był bardzo blady, w ręku trzymał kwity lombardowe, wyjęte z biurka żony.

— Gdzie byłaś? Nie spałem przez całą noc! Gdzie byłaś?

Dusza w niej dygotała, ale kołnierz nie dawał za wygraną.

— Gdzie byłam? Włóczyłam się z jednym mężczyzną!

Uczciwy mąż zachwiał się.

— Ala! Alunia! Co tobie? Powiedz po co zastawiałaś rzeczy? Po co pożyczałaś u Malickich i u Szuberów? Na co wydawałaś te pieniądze?

— Pieniądze? Puściłam je!

Włożyła ręce w kieszenie i głośno gwizdnęła czego dawniej nigdy nie umiała robić. A czy znała idiotyczne powiedzenie „puściłam"? Czy to naprawdę ona powiedziała?

Uczciwy mąż porzucił ją i przeniósł się do innego miasta.

Gorsze jednak było to, że nazajutrz po jego wyjeździe kołnierz zginął w praniu.

Skromna Ala pracuje w banku.

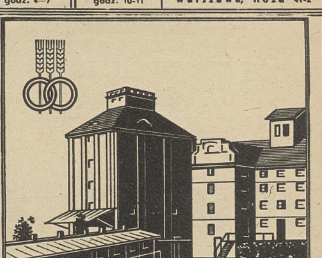
Jest tak skromna, że czerwieni się przy słowie „odejmować" bo podobne jest do „obejmować".

— A gdzie kołnierz? — spytacie.

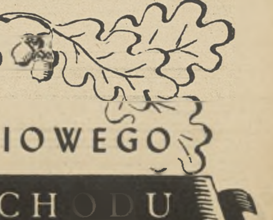
— Nie wiem, — odrzeknie na to. — Oddany był praczce niech go zwróci.

Ach, życie, życie!

Teffi-Filus







Święty Mikołaj na urlopie

tekst
IRENA GĘBIKA
rys. M. KUBICKI

5-ty listopad

Mamusia znowu skżyczała mnie za to, że **pokazałam jenzyk panu Mietkowi**. A ja go nie cierrpię! Zobaczył muj dzienniczek i śmiał się i muwił, że ja fcale nie umiem pisać. A pszecież mam już 8 lat i piszę bardzo dobże, bo panna Misia mnie już uczy dwa lata. Tego roku to mamusia zapisała mnie nawet do szkoły, odrazu do drugiej klasy. I chodziłam 2 tygodnie. Ale potem pani nauczycielka pszybiegła do domu i asz płakala i prosiła, rzeby mnie odebrać, bo takiego psotnego dziecka jeszcze nie widziała i cała klasa się do reszty rosbryka i ona nie morze sobie dać rady i chyba zwariuje. Ja strasznie chciałam widzieć jak to beńdzie wyglondać, ale mamusia się okropnie gniewała i teraz panna Misia znowu mnie uczy.

Dzisiaj to się strasznie na mnie złościła, bo wymalowałam tatusiowym tuszem wąsy na jej fotografii, a ona miała to posłać nażeczonemu. Jakbym ja była menszczyzną tobym fcale nie wyszła na pannę Misię, ona jest taka gruba i stara, ma chyba ze 25 lat i okropnie durzo mawi. Wienc się jej spytałam po co ona się rzeni i że ja chcę także, a ona powiedziała, że mąrz to wielkie szczęście i że jakbym ja się wydała to byłoby bardzo dobrze, bo nareście byłby spokuj w domu. Tylko się muszę strasznie modlić, rzeby był dobry i mug ze mną wytszymać.

Wieczorem znowu pszyszli goście. Jedna pani co była pierwszy raz wzieła mnie na kolana i muwiła, że jeszcze nie widziała takiego ślicznego dziecka, rzeby miało takie wielkie niebieskie oczy i takie mieńkie, ciemne loczki. I muwiła, że mam bardzo ładną mamusię i dobrego tatusia i, pytała czy ich kocham. Ja powiedziałam, że tak, ale że tatuś pracuje cały dzień, a mamusia to mnie nigdy nie całuje, bo w dzień naklada sobie coś czerwonego na usta, a wieczorem to jej się czemuś cała twarz strasznie świeci, a ja tego nie lubię. Mamusia się zaraz zaśmiała, tak dziwnie, jak wtedy gdy jest zła, a pan Mietek powiedział rzebym się poszła trochę pobawić. A ja go zapytałam czy on nie ma swojego domu, że tak długo u nas siedzi i czy do wszystkich kolegów pszyjeszdża tak czensto jak do tatusia. Ja fcale nie myślałam nic złego, tylko się tak pytałam z ciekawości i naprawdę nie wiem czemu się mamusia rosgniewała i powiedziała, że za miesionc bendzie śfienty Mikołaj i nic nie pszyniesie takiemu nieznośnemu dziecku.

Potem, jak już leżałam w łurzeczku długo myślałam o tym śfientym Mikołaju, dlaczego mi nic nie przyniesie i dlaczego się na mnie fszyscy ciągle gniewają i że lepiej by było jakby mnie już w domu nie było. Wienc pomyślałam sobie, że nie bendę prosić śf. Mikołaja o zabafki, bo i tak już chyba fszystko mam, tylko rzeby mi pszyniusł dobrego męża. A potem już nie wiem co myślałam, bo zasnęłam.

6-ty listopad

Pytałam się dziś pszes cały dzień pannę Misię o śfientego Mikołaja, a ona zezłościła się i powiedziała, że i tak do mnie nie pszyjdzie, bo ma urlop i fcale tak prentko nie wruci. Wienc się okropnie zmartfiłam, bo co teraz beńdzie jak nie bendę miała męrza, okropny fstyd, bo już wszystkim powiedziałam, że bendę miała.

Strasznie zmartfiona usiadłam w swoim pokoju w konciku. Było już szaro i ja się pszytuliłam do dywanu i wzięłam swojego wypchanego pieska na rence, ale nie chciałam się bawić, bo byłam bardzo głodna. A w drugim pokoju była mamusia i coś muwiła o urlopie, wienc zaczęłam słuchać. Mamusia miała taki dobry i milutki głos jak rzatko kiedy, wienc pomyślałam, że napefno rozmawia ze śfientym Mikołajem. A ona muwiła:

— Och, nie, nie, ty musisz speńdzić u nas urlop świonteczny. Zrozum, ja jestem taka sama i tak cię bardzo o to proszę.

Ale śf. Mikołaj nic nie odpowiedział i niewiadomo skont wzioł się tam pan Mietek, bo usłyszałam jego głos.

— To niemożliwe, Halinko — i tak już za długo tu jestem. Ale tak strasznie trudno odjechać od ciebie... Ty wiesz to chyba i wiesz jak bardzo cię kocham.

Nic nie rozumiałam, dlaczego pan Mietek tak muwił i do kogo, bo pszeciesz do mamusi muwi zafsze: pani. Ale potem zrobiło się cicho pszez dłuższą chwilę, a ja się nastraszyłam, że śf. Mikołaj odejdzie i preńdziutko pobiegłam do drzwi. Musiałam tymi drzwiami w pośpiechu mocno trzasnońć, bo **mamusia odskoczyła ot pana Mietka**, zrobiła się taka biała jak mleko i zawołała:

— Ach, Lili, tak mię pszestraszyłaś!

A potem zaraz kazała mi wracać do swego pokoju i była zła.

Wieczorem pszy kolacji jadłam strasznie durzo, bo byłam głodna i jak czwarty raz sobie nabierałam panna Misia zabrała pułmisek i powiedziała:

— **Nie jedz tyle, Lili**, bo cię beńdzie żołondek bolał. Napijesz się teraz z nami cherbatki.

Ale ja nie lubię cherbatki, a zresztą skont ona morze wiedzieć ile mam jeszcze miejsca w bżuszku. Wienc jej powiedziałam, że mi rzałuje i ze już niedługo bendę miała swobodę jak się tylko orzenię.

Tatuś się roześmiał i spytał:

— A kiedy to chcesz zrobić, Lili?

— O, już bardzo prentko, bo śfienty Mikołaj pszyniesie mi dobrego męrza.

I fszyscy się śmiali, jakby to naprawdę było coś śmiesznego. Wienc powiedziałam, że choć śf. Mikołaj jest na urlopie to i tak do nas pszyjedzie, bo mamusia go o to bardzo prosiła. I powiedziałam jak to siedziałam w pokoju, a mamusia rosmawiała w drugim i co muwiła. A potem spytałam się pana Mietka do kogo on muwił pszes: „ty" i że mu smutno odjeszdżać, bo bardzo kocha. I powiedziałam jeszcze jak się mamusia pszestraszyła kiedy tak niespodziewanie weszłam. A jak skończyłam to nikt się nie odezwał i było strasznie cicho.

I nagle tatuś fstał i p. Mietek fstał tagże, nie wiem czemu, bo pszecie nie skończyli jeszcze jeść, a golombki były pyszne. Mamusia rozpłakała się, chwyciła tatusia za renkę i oboje wyszli z pokoju. Pan Mietek tesz wyszed. Panna Misia zabrała mnie jak zafsze do łazienki, kazała umyć się i wyczyścić zemby, a potem położyła do łurzeczka. Ale ja nie mogłam spać i jak tylko ona wyszła wyskoczyłam w koszulce i na paluszkach **pobiegłam do zamkniętych drzwi sypialni**. Przysunęłam sobie fotel, skuliłam się i słuchałam.

A mamusia płakała ciągle i muwiła takim drżoncym głosem:

— Wienc zrozum mnie, Edwardzie, zrozum... Ty cały dzień pracujesz i nigdy cię nie ma... chyba na chwilę... i jesteś zafsze taki sztywny, obcy. Żeby choć jedno słuwko... Jedno cieplejsze słuwko... Jestem zafsze taka sama... zamknąłeś się w swojej pracy i zabrakło tam miejsca dla mnie... A ja jestem młoda... chcę jeszcze rzyć, pszeciesz nie mogę odgrodzić się ot świata... Nie! Nie! Och, Edwardzie, ty byłeś dawniej inny! Pamientasz? Kochaliśmy się i było nam dobże... z poczontku... a potem cierpiałam pszes kilka lat... sama... bo ciebie zabrała praca... Nie, nie, ja nie chcę tak, nie mogę! Ja chcę mieć kogoś dla siebie, kogoś, z kim mogłabym rosmawiać, rzartować, bawić się. Ty nie masz prawa robić mi wymuwek, bo sam ponosisz większą część winy. Żonę nie wystarczy sdobyć, tszeba ją umieć utszymać przy sobie... Ty nie potrafiłeś...

Tatuś był bardzo zły i otpowiadał krutko, ostro, nie tak spokojnie jak zafsze. Ale ja nie mogłam już słuchać dokładnie, bo byłam zmenczona i fszystko mi się plontało w głowie. Myślałam, dlaczego mamusia była sama, kiedy w domu jestem zafsze ja, tatuś, panna Misia, szofer Zielak, Kotubowa, Kaśka, Grzesiek i pan Mietek. I dlaczego tatuś kszyczy, mamusia płacze i czemu nie pszychodzą do mnie na dobranoc. Było mi coras zimniej, coras wiencej zawijałam się koszulką i kuliłam, asz wkońcu zasnęłam, sama nie wiem kiedy.

13-ty listopad

Już cały tydzień niema mamusi. Zaras po tej rósmowie z tatusiem zabrała trochę swoich rzeczy i pojechała do babci. Pan Mietek tesz gdzieś wyjechał. Ja się teras świetnie bawię, nikt na mnie nie kszyczy i robię co chcę. Panna Misia się teras srobiła strasznie dobra dla mnie i dla tatusia tesz. Pszynosi mu zafsze cherbatę do gabinetu i prosi rzeby pan inrzynier wyszedł na kolację. Ale tatuś się zamknoł i nikogo nie chce widzieć, ani rozmawiać. Ja sobie uganiam po całym domu, fcale się nie uczę **i wyjadam konfitury ze spirzarni**, bo fszystko jest otfarte.

Dzisiaj śniło mi się, ze była okropna powudż i panna Misia się topiła, robiła ustami: bul... bul... i wyglondała tak komicznie, że mało nie penkłam ze śmiechu. Jak się tylko rano sbudziłam chciałam jej to powiedzieć i pobiegłam w pitzamie do jej pokoju. **Ona jeszcze spała**, trochę chrapała, miała otfarte usta i jakieś takie śmieszne wenzełki z włosów na głowie. Wienc wzięłam prentko norzyczki i opciełam jej dwa wenzełki nad czołem i fsadziłam w usta. A ona się obudziła i strasznie kszyczała i muwiła, że mnie stłucze na kwaśne japko, ale uciekłam. Ta panna Misia jest bardzo niedobra, bo pszeciesz naprafdę nie wiem za co chciała mnie bić.

20-ty listopad

Tak mi dziś smutno. Już dwa tygodnie nie ma mamusi. Na dworze tak zimno i pada i pada, już całe szyby są mokre. W pokoju jest już prawie ciemno, a ja się skuliłam w konciku na dywanie. I taka jestem sama... Nikt nie pszyjdzie do mnie, nie pszytuli, nie pocałuje, nie zapyta, czy mi ciepło i czy nie jestem głodna. Już chyba fszyscy zapomnieli, że taka mała Lili jest w domu, a jak pamientają to tylko po to, aby krzyczeć.

Wczoraj siedziałam w oknie z noskiem na szybie, taka samiuteńka i widziałam jak Janek i Hela szli ze swoją mamusią. Deszcz padał i ona ich wzieła pod swuj szeroki płaszcz, pszytuliła, dawała im cukierki i zasłaniała ot wiatru. I było mi strasznie smutno, że mnie nikt nie popieści i że ja nie mam mamusi.

27-my listopad

Wczoraj wieczorem tatuś wzioł mnie na kolana i gładził po główce, a ja zapytałam kiedy mamusia wruci. Tatuś był strasznie smutny i powiedział, że nie wie, a potem powiedział jeszcze:

— Mudl się, Lili, rzeby Bozia dała nam znowu mamusię, taką dobrą jak dawniej.

I ja nie wiem czemu rospłakałam się, ale jak zobaczyłam, że tatuś ma wilgotne oczy powiedziałam prendziutko:

— Tylko ty nie płacz tatusiu, pszeciesz jesteś menszczyzna.

A tatuś się uśmiechnął, pocałował mnie i poszedł do siebie.

Ja sobie znowu usiadłam w konciku i myślałam co zrobić, myślałam i wymyśliłam. Wzięłam papier i napisałam list do śfientego Mikołaja.

Kochany śfienty Mikołaju!

Wiem, że już niedługo beńdziesz pszychodził do grzecznych dzieci i do mnie pewnie tesz pszyjdziesz, bo ja już ot kilku dni jestem bardzo grzeczna. Ale ja ciebie fcale nie proszę o zabafki, ani o męrza, chociasz go strasznie chciałam mieć. Ja ciebie śfienty Mikołaju bardzo, bardzo proszę o mamusię. Mnie jest tak smutno, że inne dzieci mają mamusie, a ze mną się nikt nie pobawi, nie popieści, nie pomyśli, że płaczę gdzieś sama w konciku. I tatuś jest taki smutny i tak jest pusto w domu...

Śfienty Mikołaju, ty taki dobry jesteś, daj mi znowu mamusię, taką dobrą, rzeby sobie nie robiła czerwonych ust i rzeby mnie bardzo kochała, wiencej nisz pana Mietka. A ja za to dam swoją najładniejszą lalkę tej małej, biednej Lusi. Tylko zrub tak, rzeby mamusia wruciła i rzeby znowu było wesoło w domu.

Lili

Ale potem nie wiedziałam jak zaadresować, bo pszeciesz jak śfienty Mikołaj jest na urlopie to nie pszyjdzie do okna po list. Wienc napisałam adres bapci, tam gdzie jest mamusia, bo jak mamusia rosmawiała ze śf. Mikołajem to musi wiedzieć gdzie on jest i pośle ten list do niego.

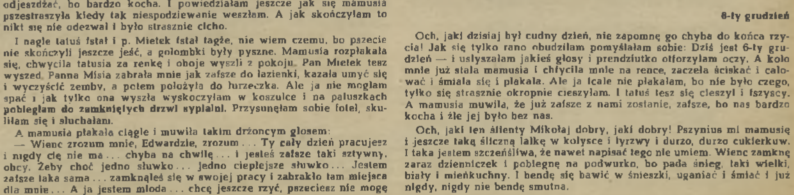
Dziś rano wżuciłam list do skszynki i taka byłam pszejenta, że asz mi się paluszki tszensły. Może jeszcze fszystko beńdzie dobrze?

6-ty grudzień

Och, jaki dzisiaj był cudny dzień, nie zapomnę go chyba do końca rzycia! Jak się tylko rano obudziłam pomyślałam sobie: Dziś jest 6-ty grudzień — i usłyszałam jakieś głosy i prendziutko otforzyłam oczy. A koło mnie już stała mamusia i chfyciła mnie na rence, zaczeła ściskać i całować i śmiała się i płakała. Ale ja fcale nie płakałam, bo nie było czego, tylko się strasznie okropnie cieszyłam. I tatuś tesz się cieszył i fszyscy. A mamusia muwiła, że już zafsze z nami zostanie, zafsze, bo nas bardzo kocha i źle jej było bez nas.

Och, jaki ten śfienty Mikołaj dobry, jaki dobry! Pszynius mi mamusię i jeszcze taką śliczną lalkę w kołysce i łyrzwy i durzo, durzo cukierkuw. I taka jestem szczeńśliwa, że nawet napisać tego nie umiem. Wienc zamknę zaraz dzienniczek i pobiegnę na podwurko, bo pada śnieg, taki wielki, biały i mieńkuchny. I bendę się bawić w śnieszki, uganiać i śmiać i już nigdy, nigdy nie bendę smutna.





— Jeżeli pan kupi ten piecyk, to zaoszczędzi pan sobie połowę węgla.
— No, to proszę przysłać mi wobec tego dwa takie piecyki, a wtedy w ogóle nie będę potrzebował kupować węgla. Kuralle

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ŁAMIGŁÓWKA FIGUROWA
ul. W. Hampel z Krakowa

Podane niżej litery: a-a-a-a-a-a-a-a-c-c-c-c-d-d-e-e-e-e-e-i-i-k-k-k-k-k-k-m-m-n-n-n-n-n-n-o-o-o-o-o-o-s-s-s-t-t-t-u-u-z-z-z-z-z, z. wpisać w puste kratki figury, w ten sposób, by powstały cztery wyrazy, które czytane pionowo i poziomo, nie zmieniają znaczenia.

Znaczenie wyrazów: 1) świadek, który w pojedynku ustala warunki spotkania. 2) inaczej glikozuria, jeden z objawów cukrzycy. 3) tkanina wełniana i jedwabna na pokrycie mebli. 4) włoskie określenie muzyczne oznaczające: niewinnie, niewymuszenie w wymowie polskiej.

KRZYŻÓWKA
ul. Z. Auriga z N. Sącza

Znaczenie wyrazów:

Poziomo: 1) skorupiak morski; 2) nauczyciel; 4) zastawa, zakład; 6) sielanka; 8) szopa na siano, stodoła; 11) obłęd strachu przed złym duchem. 14) rzeka w Rosji; 15) mit. Bóg pasterzy; 16) naczelnik w Turcji; 17) „jest" w jęz. mart.; 18) jedn. miary op. elektr.; 20) imię żeńskie; 21) płaca dzienna; 24) część okrętu; 25) odmęt, zamieszanie; 26) sztuka wypychania zwierząt; 29) duża kanapa bez oparcia, pokryta dywanem; 30) barwnik błękitny; 31) moneta włoska; 32) objaśnienie; 33) przypisek, uwaga.

Pionowo: 1) pierwszy dzień miesiąca u dawnych Rzymian, 3) muzyka pieśni miłosnych; 5) linia styczna w matem.; 6) obraz święty; 7) sekta buddyjska w Tybecie; 9) drzewo; 10) zwolennik, uczeń; 11) żołnierz ze straży przyb. uzbr. halabardą; 12) gospodarstwo rolne; 13) prawda uosobiona; 19) posłaniec publiczny; 20) wybrany nowoobrany; 21) zły duch, szatan; 22) zawiadomienie; 23) gwałtowny wicher na morzu; 27) masa do sklejania, zalepiania.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 47

Poziomo: 1. tramwaj, 6. oda, 8. nos, 11. akta, 13. tela, 14. gra, 15. orkan, 16. Ra, 17. kwas, 18. Oran, 19. ck, 20. Nepal, 22. jar, 23. grom, 24. mary, 25. Eos, 26. fez, 27. syderyt.

Pionowo: 2. rota, 3. Ada, 4. Ma, 5. aneks, 6. Jola, 7. Lagrenge, 10. sanskryt, 12. kra, 16. owal, 17. kram, 18. oposy, 19. car, 21. Eros, 22. jazy, 24. mer, 26. Fe.

Karolowi wypowiedziano posadę. Zmartwiony idzie do szefa.
— Dlaczego panie szefie, straciłem posadę przecież nic nie zrobiłem.
— Zgadza się, właśnie dlatego.

•

— Pierwsza miłość jest jednak najpiękniejszą, prawda kochany?
— Tak, ale z tobą jest mi także dobrze.

•

— Moja żona uczy się śpiewać, a córka gra na fortepianie.
— No, a co pan na to?
— Ja, uczę się cierpieć w milczeniu.

•

— Panie Antosiu, czy narzeczona pańska potrafi być dyskretną?
— Jeszcze jak, byłem z nią 6 tygodni zaręczony nim się o tym od niej dowiedziałem.

•

Lola była u lekarza: — Ma pani cudowne serce panno Lolu. Życzyłbym sobie mieć też takie same.
— O ja mam je wolne — mówi Lola skromnie.

•

— Kiedy mogę przyjść do pana, żeby mu nie zrobić subiekcji?
— Najlepiej między 10-tą a 12-tą o tej porze nigdy mnie nie ma w domu.

•

Konkurent: — Czy mogę prosić o rękę pańskiej córki?
Ojciec: — Żałuję mocno, już wczoraj zapłaciłem długi za innego.

•

Wiejska gosposia idzie do fotografa i pyta:
— Ile kosztuje fotografia. Chciałabym mieć fotografię moich dzieci.
— Osiem złotych za tuzin odpowiada fotograf.
— Jaka szkoda — smuci się gosposia — mam dopiero dziesięcioro dzieci.

•

Dyrektor przedsiębiorstwa zapytuje szefa personalnego:
— Czy pan jest zadowolony z nowej maszynistki?
— Bynajmniej, cały dzień nic nie robi a i to jeszcze uważa za poświęcenie.

•

Turysta: — Czy w tym zamku mieszka jeszcze stary hrabia?
Służący: — O nie, pan hrabia usunął się właśnie w tych dniach do swej dziedzicznej mogiły.

•

OŚWIADCZYNY

— Proszę o rękę pańskiej córy . . .
— Szepce młodzieniec, przyszedłszy
w konkury;
Przyszły teść na to: Człecze, skróć
mą mękę,
Bierzże ją całą, a nie tylko rękę . . .

KOBIETA

„Kobiety nie bij nawet kwiatem" —
Prawił wnioskodawca.
„Ale idź do niej stale z batem" —
Dodał rzeczoznawca.

BABCIA I WNUCZKA

— Stwórcy poprawiać się nie godzi —
Babunia wnuczce swej dowodzi,
Do kosmetycznych wstręt w niej budząc
smarów . . .
A babcia także — rzecze wnuczka —
Nie wiedziałaby o tych sztuczkach,
Gdyby nie kładła na nos — okularów.

ŚWIAT SIĘ

— Popatrz na tę panią, co idzie przed nami. Dla swej wiary nie waha się ona ponieść największych ofiar.
— Co mówisz? A w co ona wierzy?
— Wierzy, że może nosić buciki o dwa numery mniejsze od nogi.

•

Młoda dziewczyna skarży się: — Doprawdy mam tak słabą pamięć . . .
— To rzeczywiście przykra choroba — współczuje jej przyjaciółka.
— Jeszcze jak, wyobraź sobie, niedawno temu pisząc listy zamieniłam adresy Karola i Edwarda i obaj teraz zerwali ze mną.

ŚMIEJE

— Ależ z tego Stefana zarozumialec! Wyobraź sobie w dzień swoich urodzin posyła on swojej matce telegram gratulacyjny.

•

Pewien młody człowiek zjawia się u redaktora humorystycznego czasopisma.
— Przyniosłem panu moje ostatnie dowcipy — oświadcza z dumą.
Redaktor przeczytał kilka dowcipów, przerzucił resztę i mówi:
— Chętnie zamieściłbym je w mym czasopiśmie, gdyby mi pan jeszcze dostarczył czytelników, którzy by się z tych dowcipów śmiali.

•

— Młody człowieku — mówi starsza dama — może pan wyjmie laskawie papierosa z ust, jak pan ze mną mówi. Musiał pan nie mieć dziecinnego pokoju, gdzie tego uczono.
— O pokój dziecinny miałem, ale o papierosach nie było wtedy jeszcze mowy.

— Niech pan sobie wyobrazi, mój Aguś cały rok występował w Variete jako pies odgadujący myśli.
— Wykluczone, proszę pani, gdyby to była prawda, byłby mnie już na pewno pogryzł. Die Woche

KALAMBURIADA

Wnoszę poprawki nowe do słownika,
Których sens z brzmienia danych słów wynika . . .
A więc na przykład: gwiazdor — gwiazdy bada,
Stadnik — zaś człowiek, co pilnuje stada.
Cywilizacja — to cywilów rzesza,
A wieszak — ten, co delikwentów wiesza.
Guzikiem — mały guz nazwać należy,
Zaś wierzycielem — takiego, co wierzy.
Kapelan — muzyk, co w kapeli grywa,
Ordynat — ktoś, kto ordynarny bywa.
Odważnik — mąż to odważny i śmiały,
Markiz — zaś zbieracz marek jest wytrwały.
Nożownik — noży fabrykuje masy,
A paser — różne ludziom, robi pasy.
Klub kawalerów — kawalerią zowią.
Hydrant — to jeden z tych, co hydry łowią.
Bosak — nie hak to, ale człowiek bosy,
Ciosać — to znaczy, w krąg zadawać ciosy.
Spotwarzyć — jest to, twarz bliźniemu obić,
W końcu omamić — pannę mamą zrobić.

Artur Lorek

KĄCIK KARYKATURZYSTY

— Obecnie, to ja chodzę spać razem z kurami. Pan zapewne także?
— Nie, ja nie mam kur.



Milutka Lucette

. . . Jakże czułem się zmęczonym! Dwadzieścia godzin jazdy pociągiem pośpiesznym wprawdzie, ale bez wagonu sypialnego, potrafi pozostawić na człowieku ślady. Tak przybyłem do Paryża.

Świetlny transparent salonu fryzjerskiego obok poczekalni na dworcu, mile uderzył mnie w oczy. Był to dla mnie w tej chwili prawdziwy „błysk szczęścia"!

W czasie golenia, układania włosów i odświeżającego masażu twarzy — zjawiłaś się, ty, mała Lucetko . . . Niby zawisając w powietrzu przypłynęłaś po prostu — bo nadchodząc, nie wywołałaś najmniejszego szmeru — i oto stanęłaś tuż, obok, odbita w lustrze, uśmiechnięta, urocza . . .

Zgadłem kim byłaś . . . Co czyniły tutaj dniami całymi twe drobne, wypielęgnowane rączki, ujmujące wciąż pilnik, nożyczki i lakier... Wzrok mój padł mimowolnie na me paznokcie . . . Tak, nawet oglądając je z bliska, nie można im było nic a nic zarzucić . . . A jednak . . . Bądźmy szczerymi . . . Znalazłem, bo . . . chciałem, jakąś wadę w ich wyglądzie . . . Czasem wszak miewa się jakieś nieokreślone pragnienia, zachcianki chwili, ot, kaprysy . . . I leciuchno przysunąwszy do mnie swój stoliczek, usiadłaś naprzeciw mnie, wyciągając swe rączki po moją dłoń . . . To była rozkosz, móc tak siedzieć w wygodnym krześle i patrzeć, patrzeć na Ciebie . . . Aż nagle zaświtał mi w głowie wspaniały pomysł! Genialna myśl! Wiedziałem już, że nie będę się nudził w obcym mieście.



Z melancholijnym nieco zapatrzeniem w codzienny wir ulicy, kroczy „mała Lucetka" do pracy.







Poniżej na lewo: Cała tajemnica „wywierania wrażenia" na otoczeniu polega na zachowaniu miary nawet w upiększaniu się.

Fot: Eurofot



Tutaj, za drzwiami fryzjerskiego „Salonu" — jest mała Lucetka tylko manicurzystką firmy.



Na lewo: W eleganckim lokalu „à deux", gdy niemal do dna wysączono kieliszki, snują się czasem zwierzenia. Wychyl kielich Lucetko! Za twoje i moje, za nasze chwile!











Na lewo: We dwoje przez Paryż, z kamerą w ręku, toż dopiero artystyczna biesiada i arcymile spędzony czas! Oglądają się z uśmiechem przechodnie, zazdroszczą pewnie nawet temu „szczęściarzowi". Słoneczny dzień, Paryż i piękna kobieta, ramię przy ramieniu...

że godziny w nim spędzone nanizam na nitkę wspomnień z dni mego życia . . . Że będą one barwnymi odłamkami przeżyć w kalejdoskopie wrażeń . . . Że to będą moje godziny! Poprosiłem cię . . . Byś zechciała być towarzyszką moją w mej wędrówce przez Paryż . . . By mi wolno było słuchać Twego szczebiotu, Lucetko, gdy pokazywać mi będziesz cienie przeszłości Twego ojczystego miasta, pomniki i budowle, które na pamiątkę na taśmę filmową pochwycić zapragnę . . . A może na tle starej Katedry, może pod Łukiem, może — czy ja sam wiem kędy zakwitnie Twa harmonijna postać, Lucetko, która upiększy me zdjęcia, doda im życia. Nie możesz już dzisiaj . . . Ha, trudno! Ale jutro z pewnością . . . Jak to cudownie złożyło się! Bo chciałem wszakże uwiecznić Paryż w mym zbiorze, chciałem z kamerą, — . . . a tu czyż nie zdarzenie jak z bajki? Paryż! Paryżem byłaś . . . Ty, mała Lucetko! Nie były nim ni twe smukłe paluszki, ni twa kunsztowna fryzura, nie były nim twe głębokie, błyszczące oczy, ani twe jakże wymowne milczenie . . . Był nim ten jakiś nieuchwytny czar, bijący od ciebie, twój wdzięk, twój szyk, był . . . to był Paryż! Spotkaliśmy się! A ty tak milutko i zabawnie umiałaś opowiadać o Paryżu, o swoich zmartwieniach i... o wszystkim! Wskazałaś mi małą restauracyjkę, w której zawsze wypijasz filiżankę kawy, idąc do pracy, — ale poszukaliśmy też sobie lokalu na wieczór, gdzie podawano wspaniałe ostrygi! Ty chciałaś pokosztować ich koniecznie. A jakże otrząsnęłaś się po kieliszku koniaku! Mocny był? A jakich zaraz ślicznych nabrałaś kolorów . . . Bo znużyło cię, zdaje się, długie chodzenie ze mną i mym aparatem. I znowu jakby senna już nieco, mówiłaś mi o swych marzeniach, byś mogła dostać się na wielki okręt, który płynie hen, w świat. Słuchałem cię i mnie opadły wspomnienia . . . Miałem i ja swoje złote sny, — cóż, gdy życie i los inaczej nas wiodą, niż pragniemy... Rozwiała się wreszcie beztroska naszych godzin, Lucetko. Musieliśmy rozstać się — bo mnie wołał uciekający czas, ty powracać powinna już byłaś do twoich ścian... Podaliśmy sobie ostatni raz ręce, — jakoś zamgliły się twe oczy, Lucetko i mnie żal jakiś siadł na duszy . . . Migały już gwiazdy na niebie, gdy zniknęłaś mi z oczu w podziemiach Metra na Placu Opery, Ty — Paryż!